

**ELLERY LLOYD**

# **INFLUENCERKA**

**Przełożyła  
Aga Zano**

**MARGINESY**

*People Like Her*

COPYRIGHT © Ellery Lloyd 2021

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Aga Zano  
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

*Dla Zu*

## PROLOG

Możliwe, że umieram.

A przynajmniej już od jakiegoś czasu mam wrażenie, że patrzę, jak życie przelatuje mi przed oczami.

Najwcześniejsze wspomnienie: zima, początek lat osiemdziesiątych. Mam na sobie rękawiczki z jednym palcem, czapkę zrobioną nieporadnie na drutach i wielką czerwoną kurtkę. Matka ciągnie mnie po trawniku za domem, jadę na niebieskim plastikowym jabłuszku. Uśmiecha się sztucznie. Wyglądam, jakbym zamarzła na kamień. Pamiętam przemarznięte dłonie w rękawiczkach, każdy dołek i kamyk pod ślizgaczem, skrzypienie śniegu pod jej butami.

Pierwszy dzień w szkole. Wymachuję brązową skórzaną teczką, moje imię na karteczce wygląda zza plastikowego okienka na froncie. EMMELINE. Jedna granatowa podkolanówka zjechała mi na kostkę; włosy mam związane w nieco nierówne kucyki.

Polly i ja mamy po dwanaście lat. Przyszłam do niej na noc, już się przebrałyśmy w piżamy w szkocką kratę, rozsmarowałyśmy na twarzach maseczki błotne i czekamy, aż popcorn zacznie pykać w mikrofalówce. Potem, już nieco starsze, stoimy na korytarzu w jej domu, gotowe do wyjścia na imprezę halloweenową, na której pierwszy raz się całowałam. Polly przebrała się za dynię. Ja za seksownego kociaka. Znowu my, jest ciepły letni dzień, siedzimy po turecku na świeżo skoszonym polu, obie w džinsach i martensach. I jeszcze

w sukienkach na cienkich ramiączkach, z modnymi ażurowymi obrózkami na szyjach, wybieramy się na bal maturalny. Wspomnienie po wspomnieniu, jedno za drugim, aż zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle byłabym w stanie znaleźć jedną ważną scenę z nastoletnich czasów bez Polly, zawsze krzywo uśmiechniętej i ustawionej w niezdarnej pozie.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, jaka to smutna myśl.

Wszystko, co zaraz po dwudziestce, nieco się rozmywa. Praca. Imprezy. Puby. Pikniki. Wakacje. Szczerze powiedziaławszy, lata przed trzydziestką i po niej też nie są zbyt wyraźne.

Niektórych rzeczy nigdy nie zapomnę.

Ja i Dan w budce fotograficznej, na trzeciej albo czwartej randce. Obejmuję go ramieniem. Jest niewiarygodnie przystojny. Ja – zauroczona bez pamięci. Szczerzymy się do obiektywu jak dwa głupki.

Dzień ślubu. Puszczam oko do przyjaciółki za aparatem podczas recytowania przysięgi, Dan z poważną miną wsuwa mi obrączkę na palec.

Miesiąc miodowy, rozkoszujemy się każdym dniem, siedzimy opaleni na czerwono w barze na Bali o zachodzie słońca.

Czasami trudno mi uwierzyć, że kiedykolwiek byliśmy tacy młodzi, tacy niewinni.

Chwila, kiedy urodziła się Coco, rozwrzeszczana i wściekła na świat, nieco biaława, cała pokryta śluzem. Odkąd pierwszy raz zobaczyłam jej buzię, na zawsze wypaliła mi się w pamięci. I chwila, kiedy włożyli mi ją w ramiona. Ten ciężar naszych uczuć.

Roześmiana Coco, oprószona konfetti z piñaty na przyjęciu z okazji jej czwartych urodzin.

Mój dwutygodniowy synek Bear, za drobny nawet na maleńkie śpioszki, w które go ubrałam, śpiący w ramionach rozpromienionej siostry.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że nie widzę wspomnień, tylko wspomnienia fotografii. Całe dnie wydestylowane do jednego nieruchomego obrazu. Całe związki i przyjaźnie. Całe epoki.

Wciąż pojawiają się nowe. Fragmenty. Klisze. I jeszcze, jeszcze, jeszcze. Coraz szybciej przesypują się przez mój mózg.

Bear krzyczący w wózku.

Pośluczone szkło na kuchennej podłodze.

Córka w szpitalnym łóżku, zwinięta w kłębek.

Pierwsza strona gazety.

Chcę to zatrzymać. Coś jest nie tak. Próbuję się obudzić, otworzyć oczy, ale nie mogę, mam zbyt ciężkie powieki.

Jestem wzburzona nie tyle wizją śmierci, co myślą, że już nigdy nie zobaczę tych ludzi; przelatują mi przez głowę wszystkie rzeczy, których być może nie zdążę im powiedzieć. Dan – kocham cię. Mamo – wybaczam ci. Polly – mam nadzieję, że zdołasz mi wybaczyć. Bear... Coco...

Mam koszmarne przeczucie, że za chwilę wydarzy się coś strasznego.

Mam koszmarne przeczucie, że to wszystko moja wina.

SZEŚĆ TYGODNI WCZEŚNIEJ

## *Emmy*

Nie planowałam zostać instamamą. Bardzo długo nie wiedziałam, czy w ogóle będę mieć dzieci. Ale kto z nas może z całym przekonaniem stwierdzić, że jego życie potoczyło się dokładnie tak, jak przewidywał?

Owszem, ostatnimi czasy moje życie kręci się wokół ciekących mlekiem sutków i upierdliwych glutków; bo jestem profesjonalną podcieraczką pupy dwóch niesfornych szkrabów. Ale jeszcze pięć lat temu można było mnie uznać za fashionistkę. Spróbujmy zignorować ten tik pod zapuchniętą powieką i wyobraźmy sobie, że zamiast potarganego różowego koka mam na głowie gładko wymodelowane pukle. Zamiast pospiesznie nałożonej na wargi szminki AC w kolorze Ruby Woo – jest idealnie wykonturowana twarz, eyeliner w płynie i odważne kolczyki, takie, na jakich moja trzyletnia córka uwielbia się podciągać bez ostrzeżenia. A na koniec dodajmy do tego obcisłe džinsy i jedwabną bluzkę z Equipment.

Kiedy zostałam redaktorką w magazynie o modzie, spełniłam marzenie towarzyszące mi od czasów, kiedy byłam nastolatką o nieposłusznych włosach, wystających przednich zębach i dziecięco krągłej buzi. Co więcej – naprawdę kochałam tę pracę. Niczego innego nie pragnęłam w życiu robić, a moja najlepsza przyjaciółka Polly może to potwierdzić. Kochana, cierpiąca w milczeniu Polly. Mam



szczęście, że w ogóle jeszcze ze mną rozmawia po tych wszystkich godzinach przymusowego robienia za fotografkę na improwizowanych sesjach zdjęciowych po szkole i chodzenia ze mną po „wybiegu” na ogrodowej ścieżce w szpilkach mojej mamy. Tyle popołudni spędziłyśmy na sklejananiu własnych magazynów z pozółkłych wycinków „Daily Mail” (oczywiście ja byłam naczelną).

Jak to się więc stało, że z wymarzonej pracy trafiłam tutaj? Czasami – kiedy ścieram niemowlęcą kupę albo robię kolejną z niezliczonych partii słoiczków ze zblendowaną papką – zadaję sobie to samo pytanie. Mam wrażenie, że wszystko wydarzyło się tak nagle. W jednej chwili siedziałam ubrana w Fendi w pierwszym rządzie na Mediolańskim Tygodniu Mody, a w następnej biegałam w dresie za maluchem próbującym przeorganizować całą alejkę z płatkami śniadaniowymi w Sainsbury’s.

Jeśli mam być szczerą, to muszę wyznać, że zmiana ścieżki kariery z koneserki mody na skonsternowaną mamę wyszła mi na dobre. Świat zaczął tracić zainteresowanie błyszczącymi magazynami pełnymi zdjęć pięknych ludzi, więc kurczące się budżety i spadek nakładów wykopały spod nóg drabinę kariery. A do tego okazało się, że jestem w ciąży.

Niech cię szlag, internecie, pomyślałam. Jesteś mi winien nowy zawód – i to taki, w którym będę mogła się rozwijać podczas opieki nad dzieckiem.

Zacząłam więc prowadzić swojego pierwszego bloga i vloga – nazwałam się Bosonogą, trochę na przekór, bo zaczynałam od recenzowania moich ukochanych szpilek. I wiecie co? Trochę potrwało, zanim się na dobre rozkręciłam, ale bieżący kontakt z kobietami podobnymi do mnie okazał się nie do przecenienia.

Przewińmy wspomnienia do przodu, do tych pierwszych miesięcy po porodzie. Do dziewięciuset trzydziestu siedmiu godzin, które

spędziłam z tyłkiem przyspawanym do kanapy, przesłodka Coco przyssaną do moich mlecznych cyczków. Przez cały ten czas iPhone był moim jedynym oknem na świat, a społeczność kobiet poznanych w sieci dosłownie uratowała mi życie. Owszem, blogowanie i vlogowanie były moją pierwszą internetową miłością, ale to Instagram ocalił mnie przed zapadnięciem się zbyt głęboko w poporodowy za-  
dach. Za każdym razem, kiedy otwierałam aplikację i widziałam komentarz od kolejnej matki przechodzącej przez to samo co ja, czułam się tak, jakby ktoś ścisnął mnie pocieszająco za ramię. Znalazłam swoje stado.

Powoli więc louboutiny poszły w odstawkę, a na pierwszy plan wystąpił mały człowiek. Na miejsce Bosonogiej weszła Najnajma-  
ma, bo jestem mamą gotową z uśmiechem cała się odsłonić, pokazać wszystkie kurczaki i wstydlive sekrety. A zapewniam, że ta podróż stała się jeszcze bardziej nieprzewidywalna, odkąd pięć tygodni temu dołączył do nas drugi bekający bąbelek, Bear. Nieważne, czy w grę wchodzi pospieszne wciskanie serwetek z Happy Meala do stani-  
ka pod cieknące sutki, czy popijanie cichaczem ginu z puszki przy huśtawkach – ode mnie dostaniecie całą niepodrasowaną prawdę. Czasami lekko oprószoną pyłkiem z serowych chrupek.

Hejterzy chętnie wytykają nam, że na Instagramie sprzedaje się tylko wyidealizowane życie, poprawione, przefiltrowane i wkomponowane w małe kwadraciki – ale kto miałby na to czas, kiedy musi ganiać za upačkaną keczupem małą mistrzynią wspinaczki firan-  
kowej? A gdy robi się ciężko, zarówno online, jak i w prawdziwym życiu, gdy jedzenie lata wysoko, a nastroje unoszą się nisko, powta-  
rzam sobie, że robię to wszystko dla swojej rodziny. I oczywiście dla niesamowitej społeczności innych socialmediowych mam, na które zawsze mogę liczyć, bez względu na to, od ilu dni noszę ten sam stanik do karmienia.

To dla was zaczęłam #szaredni, kampanię zachęcającą do dzielenia się prawdziwymi historiami i organizowania spotkań na żywo, żebyśmy mogły zrzucić przed kimś ciężar tych trudnych chwil macierzyństwa. Nie wspominam nawet o tym, że część przychodów ze sprzedaży gadżetów z serii #szaredni zostaje przeznaczona na zwiększanie świadomości zagrożeń dla zdrowia psychicznego młodych matek.

Gdybym miała opisać, czym się teraz zajmuję, to czy miałibyście mi za złe określenie „mama wielozadaniowa”? Biedna Joyce, która mieszka po sąsiedzku, nie ma pojęcia, co to może oznaczać. Rozumie, co robi Najnajtata – pisze powieści. Ale ja? Influencerka to takie okropne słowo, prawda? Cheerleaderka? Promoterka? Uświadamiaczka? Kto wie? I kogo to tak naprawdę obchodzi? Po prostu robię swoje, pokazuję światu nieprzefiltrowaną wersję naszego życia rodzinnego – i mam nadzieję, że pomagam zmienić sposób mówienia o rodzicielstwie na bardziej autentyczny.

Zbudowałam swoją markę na szczerości. I zawsze będę mówić całą prawdę.

## *Dan*

Gówno prawda.

Gówno gówno gówno gówno gówno prawda.

Słyszałem to przemówienie Emmy już tyle razy, że zazwyczaj nawet nie zauważam, jaki to dziwaczny bigos, pełen wymysłów, pominięć, wymówek i półprawd. Idealnie gładki stop rzeczy, które mogły się wydarzyć (ale się nie wydarzyły), i tych, które faktycznie miały miejsce (ale w innych okolicznościach), oraz takich, które pamiętam zupełnie inaczej (delikatnie rzecz ujmując). Ale z jakiegoś powodu dziś odbieram to odmiennie. Kiedy Emmy opowiada zebranym swoją historię, a raczej w dużym stopniu naszą historię, zaczynam mimowolnie liczyć wszystkie momenty, kiedy Emmy koloryzuje, przeinacza fakty albo je wyolbrzymia nie do poznania.

Poddaję się po jakichś trzech minutach.

Chyba powinienem tu coś wyjaśnić. Nie mówię, że moja żona kłamie.

Amerykański filozof Harry G. Frankfurt dokonał kiedyś słynnego rozróżnienia kłamstwa i gówna prawdy. Kłamstwa, mówi Frankfurt, to mówienie nieprawdy po to, by celowo kogoś oszukać. Z gówna prawdą natomiast mamy do czynienia wtedy, kiedy autor komunikatu nie osiągnie za jej sprawą nic konkretnego. Na przykład: moja żona nigdy nie „wciskała pospiesznie” serwetek z Happy Meala do stanika. Wątpię, żeby kiedykolwiek znalazła się choć w pobliżu

Happy Meala. Nie mieszkamy po sąsiedzku z żadną Joyce. A jeśli wierzyć zdjęciom w domu mojej teściowej, Emmy była szczupłą i niezwykle atrakcyjną nastolatką.

Może w każdym małżeństwie ludzie prędzej czy później zaczynają zwracać uwagę na prawdziwość szczegółów w anegdotach opowiadanych publicznie przez drugą połowę.

A może po prostu jestem dziś w dziwnym nastroju.

Nie da się zaprzeczyć, że moja żona jest dobra w tym, co robi. Wręcz fantastyczna. Tyle razy widziałem, jak wygłasza te swoje przemówienia – na spotkaniach w całym kraju, w prowincjonalnych świetlicach, księgarniach, kawiarniach i przestrzeniach coworkingowych od Wakefield po Westfield – i nie mogę zaprzeczyć, że umie trafić ludziom prosto do serca. Mimo że wiem, jak jej opowieści mają się do prawdziwych wydarzeń. Kiedy dochodzi do wzmianki o ginie w puszcze, jakaś kobieta w ostatnim rzędzie pohukuje z aprobatą. Z moją żoną łatwo się utożsamić. Ludzie ją lubią.

Agentka będzie zadowolona, że Emmy wplotła wzmiankę o szarych dniach. Przepraszam, o hasztag–szarych–dniach. Kiedy przyszliśmy, zauważyłem, że co najmniej trzy osoby mają na sobie jej bluzę, tę niebieską z napisem #szaredni i logo Najnajmamy na plecach, i z napisem „Bycie mamą jest najnaj” na przedzie. A skoro już o tym mowa, logo Najnajmamy to rysunek dwóch piersi z główką niemowlaka pośrodku. Osobiście wolałem drugą propozycję – dwóch pluszowych misiów, mamy i dziecka. Zostałem jednak przegłosowany. To jeden z powodów, dla których nigdy nie uległem namowom Emmy, żebym wkładał te ciuchy, gdy towarzyszę jej na spotkaniach – zawsze tak się jakoś składa, że moja bluza akurat zostaje w domu. Zapodziała się w drugiej torbie, w suszarce albo na schodach, gdzie ją położyłem, żeby tym razem na pewno o niej nie zapomnieć. Gdzieś trzeba wyznaczyć granicę. Jakaś followerka zawsze chce zrobić nam

razem zdjęcie, żeby wrzucić je natychmiast na Instagrama, a ja nie mam najmniejszej ochoty, by moje zdjęcie w bluzie z narysowanymi cyckami hulało do końca świata po sieci.

Chciałbym wierzyć, że mam jeszcze trochę godności.

Jestem tu dziś, jak zawsze, wyłącznie by zapewnić wsparcie techniczne. Taszczę pudła z ciuchami i gadżetami Najnajmamy z taksówki do środka, pomagam je rozpakowywać i staram się nie krzywić, kiedy ludzie pytają o „całomamowe ciuszki”. Nalewam wino musujące do kieliszków i podaję gościom muffinki na początku spotkania, i to ja wkraczam do akcji, by wyrwać Emmy z przeciągającej się rozmowy z kimś przesadnie rozgadany albo wyglądającym na zbyt wielkie dziwadło. Jeśli mały zaczyna płakać, natychmiast wchodzi na scenę i delikatnie zabieram go z ramion Emmy, żeby się nim zająć – chociaż dziś synek spisuje się na medal. Nasz maleńki Bear ma dopiero pięć tygodni, ssie sobie cichutko i zupełnie nie zwraca uwagi na to, co się dzieje wokół niego – interesuje go wyłącznie pierś tuż przed nosem. Czasami, kiedy pod koniec wieczoru nadchodzi pora na pytania od publiczności, ktoś chce wiedzieć, jak narodziny drugiego dziecka zmieniły naszą rodzinną dynamikę albo co robimy, żeby nie stracić żaru namiętności w małżeństwie. Wtedy Emmy ze śmiechem wywołuje mnie z widowni i prosi, żebym pomógł jej odpowiedzieć. A gdy ktoś pyta o bezpieczeństwo w sieci, Emmy często zostawia mi wyłożenie trzech złotych zasad, którymi zawsze kierujemy się przy publikowaniu zdjęć naszych maluchów online. Po pierwsze: nigdy nie wrzucamy nic, co zdradzałoby nasze miejsce zamieszkania. Po drugie: nie pokazujemy dzieci w kąpielii, bez ubrania, na nocniku. To dotyczy również wizerunków Coco w stroju kąpielowym lub w jakimkolwiek ubraniu, które na dorosłej osobie mogłoby zostać uznane za seksowne. Po trzecie: uważnie kontrolujemy, kto obserwuje profil Najnajmamy, i blokujemy każdego, kto wzbudzi nasze

wątpliwości. Takie wskazówki otrzymaliśmy na wczesnym etapie kreowania obecności w mediach społecznościowych, kiedy poprosiliśmy o radę ekspertów.

Wciąż mam pewne zastrzeżenia do całej tej sytuacji.

Kiedy Emmy opowiada swoją wersję początków blogowania o macierzyństwie, zawsze wspomina, że to był dla niej sposób na nawiązanie kontaktu z innymi osobami przechodzącymi przez to samo co ona. Niestety, to jeden wielki stek bzdur. Jeśli naprawdę sądzicie, że moja żona wpadła na to zupełnym przypadkiem, to najwyraźniej nie mieliście okazji jej poznać. Czasami zastanawiam się, czy Emmy robi cokolwiek przypadkiem. Doskonale pamiętam dzień, kiedy po raz pierwszy napomknęła o pomysłach z blogowaniem. Wiedziałem, że idzie z kimś na lunch, ale dopiero po wszystkim zdradziła, że widziała się z agentką. Była w trzecim miesiącu ciąży. Ledwie parę tygodni wcześniej podzieliliśmy się szczęśliwą nowiną z moją mamą. Z agentką? Zdumiałem się. Chyba naprawdę nigdy do tej chwili nie przeszło mi przez myśl, że ludzie w internecie mają swoich agentów. Powinienem być na to wpaść. Kiedy Emmy jeszcze pracowała w prasie, często opowiadała mi, ile zapłacili jakiejś dużej influencerce za wysranie stu słów i ustawienie się do zdjęcia, za poprowadzenie jakiegoś wydarzenia albo wybełkotanie kilku zdań na blogu. Pokazywała mi te ich wycieczki. Taka proza, że zastanawiałem się, czy to ja mam właśnie wylew, czy też przechodziła go osoba pisząca te bzdury. Krótkie zdania. Metafory bez ładu i składu. Przypadkowe, dziwnie konkretne szczegóły rozsypane po całym tekście, żeby nadać mu pozory wiarygodności. Podejrzanie precyzyjne liczby (czteryście osiemdziesiąt dwa kubki zimnej herbaty, stracone dwa tysiące trzysta czterdzieści dwie godziny snu, dwadzieścia siedem zgubionych dziecięcych skarpetek) wciskane do tekstu w tym samym celu. Grzebanina w słowach na ślepo, bez szans na znalezienie właściwego. To ty powinienes pisać takie

rzeczy, żartowała Emmy. Nie wiem, dlaczego zawracasz sobie głowę powieściami. Kiedyś się z tego śmialiśmy. Gdy wróciła tamtego dnia z lunchu i powiedziała, z kim rozmawiała, sądziłem, że dalej się wygłupia. Długo trwało, zanim dotarło do mnie, co właściwie zamierza zrobić. Z początku sądziłem, że chce po prostu dostać trochę butów za darmo. Nie miałem pojęcia, że Emmy zapłaciła za nazwę domeny i zaklepała na Instagramie nazwy Bosonoga i Najnajmama, jeszcze zanim napisała choć jedno zdanie o szpilkach. A już na pewno nie spodziewałem się, że za trzy lata będzie miała milion followersów.

Pierwszą radą udzieloną przez agentkę było to, żeby całe przedsięwzięcie sprawiało wrażenie powstałego organicznie, jakby przytrafiło jej się to zupełnie przypadkowo. Chyba żadne z nas nie spodziewało się, że Emmy będzie w tym aż tak dobra.

Owszem, Harry G. Frankfurt zauważa, że gówno prawda opiera się na całkowitym odrzuceniu wagi prawdy i moralnego zobowiązania, które ona za sobą pociąga. Ale zwraca też uwagę na to, że gówno prawda to bardziej niszczyielski i toksyczny żywioł społeczny niż stare dobre kłamstwo. Harry G. Frankfurt ma o wiele mniej followersów na Instagramie niż moja żona.

– Zbudowałam swoją markę na szczerości – oznajmia Emmy, jak zawsze pod koniec wystąpienia. – I zawsze będę mówić całą prawdę. – Milknie i czeka, aż oklaski wybrzmiają do końca. Sięga po szklankę wody i upija łyk. – Jakież pytania? – zachęca.



*Ja mam pytanie.*

*Czy to tamtego wieczora dojrzała we mnie decyzja, żeby zrobić ci krzywdę?*

*Chyba tak.*

*Oczywiście ta myśl już przedtem nieraz przychodziła mi do głowy. Chyba każdy w mojej sytuacji doświadczałby tego samego. Ale wcześniej to były tylko mrzonki. Wizje rodem z seriali. Kompletnie nierealistyczne i niepraktyczne.*

*Zabawne, jak działa ludzki umysł.*

*Wydawało mi się, że jeśli cię zobaczę, to pomoże. Że wtedy przejdzie mi nienawiść do ciebie. Że opadnie ze mnie złość.*

*Nic z tego.*

*Nigdy nie pociągała mnie przemoc. Nie czułam też naturalnej skłonności do gniewu. Kiedy ktoś nadepnie mi na nogę w kolejce, to ja zawsze przepraszam.*

*Interesowało mnie tylko, żeby zadać ci pytanie. Jedno. Stąd moja obecność. Widziałaś moją rękę, w nieskończoność trzymaną w górze. Zauważyłaś mnie, ale poprosiłaś o wypowiedź kobietę siedzącą przede mną, tę, której fryzurę skomplementowałaś. I kobietę po mojej prawej, którą znałaś z imienia, a jej „pytanie” okazało się anegdotą o niej samej.*

*A potem ktoś oznajmił, że skończył nam się czas.*

Moje próby porozmawiania z tobą po spotkaniu spełzły na niczym, bo wszyscy się do ciebie tłoczyli. Więc pozostało mi sterczeć z tym samym kieliszkiem ciepłego wina, które podano mi przy wejściu. Wszystkie starania, żeby nawiązać z tobą kontakt wzrokowy, okazały się bezskuteczne.

Oczywiście nie miałaś jak mnie rozpoznać. Moja twarz nie wyróżniała się w tłumie. Nawet gdyby udało się nam porozmawiać, gdybyś usłyszała, jak się nazywam – albo gdyby padło jej imię – nie skojarzyłybyś tego z niczym.

Ale na twój widok – tego, jak żyjesz sobie normalnie, otoczona ludźmi, roześmiana, uśmiechnięta, szczęśliwa – dotarły do mnie wszystkie kłamstwa, które opowiadam sobie od lat. Nie udało mi się pójść naprzód, pogodzić z tym wszystkim. Nie udało mi się wybaczyć tobie i nigdy się na to nie zdobędę.

Wtedy stało się jasne, co zrobię.

Trzeba było tylko wymyślić jak, gdzie i kiedy.